

Lidia Ameyko

GDY ROZUM ŚPI – WŁĄCZA SIĘ AUTOMATYCZNA SEKRETARKA

RZECZ O GADANIU

Pierwsze takty V Symfonii Beethovena, na tle muzyki słychać głos z automatycznej sekretarki: „Dzień dobry, tu mówi Adam, w tej chwili nie ma mnie w domu, ale proszę, jeśli to możliwe, zostawić mi wiadomość nagraną na taśmie. Dziękuję.”
Muzyka.

MATKA Adasiu, tak chciałam być pierwsza, właśnie dzisiaj! A ciebie nie ma. Tego dnia, kiedy się urodziłeś, też chciałam być pierwsza, ale zabrała mi ciebie jakaś nieopierzona pielęgniarka. *(tamiącym się głosem)* Ładna! Nie widziałam cię potem przez całą noc i cały dzień, a kiedy do mnie wróciłeś, byłeś taki milczący i odmieniony, wcale nie płakałeś, jak inne dzieci, tylko patrzyłeś na mnie, jakbyś miał o coś żał. *(pochlipuje)* Mój Boże, ale dzisiaj na pewno jestem pierwsza, z pewnością pierwsza dodzwoniłam się do ciebie, żeby ci złożyć życzenia urodzinowe, jest przecież dopiero czwarta rano. Życzę ci, moje dziecko, długich i szczęśliwych lat życia...

Bip.

ŻONA Dzień dobry, Adamie, mówi twoja żona *(jadowicie)*, wciąż żona! Nasza córka pyta, dlaczego zapomniałeś o jej urodzinach, bo chciałaby dostać komplet lalek Barbie, siedem czy osiem, i jednego Kena. Nie dziw się, mój drogi, jeśli twoja córka uważa, że osiem ślicznych laleczek może mieć jednego narzeczonego, to w końcu twoja córka, i nie...

Bip.

MATKA To jeszcze raz ja, Adasiu. Dzwoniła do mnie twoja była żona z pretensjami, że zapomniałeś o urodzinach Magdy. Twoja córka chce dostać komplet lalek Barbie, siedem czy osiem, i jednego Kena. Uważam, Adasiu, że nie powinienes folgować takim zachciankom, nawet jeśli to twoja córka, i musisz myśleć...

Bip.

ŻONA To jeszcze raz ja, Adamie. Twoja bezczelna maszyna przerwała mi w połowie zdania. Zdażyłam się już do tego przyzwyczaić – twoje sekretarki, te z długimi nogami i biustami jak balony zwykle traktowały mnie jak powietrze. *(słodko)*

Chciałam ci złożyć życzenia urodzinowe. Otóż życzę ci, kochanie, żebyś nigdy, a szczególnie wtedy, kiedy będziesz stary, chory i samotny, nie żałował tego, że nas opuściłeś. (*śmieje się hisyteryicznie*)

Bip.

OJCIEC Adasiu! Z przykrością stwierdzam, że tej nocy znowu dwukrotnie mnie za-biłeś. Za pierwszym razem zaszedłeś mnie od tyłu, kiedy robiłem kanapki na kolację i poderżnąłeś mi gardło. Potem, w czasie spaceru rozłupałeś mi czaszkę o przydrożny kamień. Twoje bestialstwo, mój synu, bardzo mnie smuci. Rozmawiałem o tym z twoją matką, ona uważa, że to z powodu tej smarkuli. Adasiu, czy to możliwe? Przecież to było tak dawno. Obydwoje mieliście po siedemnaście lat, ale ta mała już wtedy była dziwką, zaręczam ci. Chciałem cię tylko uchronić przed bagnem, mój drogi, przed moralną zgnilizną, która, tylko patrzy, jak wślizgnąć się do porządnego domu. Wierz mi – nie kiwnąłem nawet palcem, żeby uwieść tę małą, nic, nic, sama mi się oddała i to w twoim własnym pokoju, kiedy ty pomagałeś matce w przygotowaniu urodzinowego tortu. Kurwa jest kurwą, Adasiu, od urodzenia, wystarczy rozpiąć takiej bluzkę, włożyć rękę pod spódniczkę, a ona już przymyka oczy, odchyła głowę do tyłu, dla niepoznaki tylko odpycha cię, i niby to boi się krzyknąć.

Twoja matka nigdy by się tak nie zachowała, to kwestia godności, mój synu, godności. To jedno z tych słów, które u was, młodych, dawno już wyszło z użycia. Tak, tak, Adasiu, nie zaprzeczaj, mianownik – kto, co – godność, dopełniacz – kogo, czego nie ma – godności, celownik – komu, czemu służyć – godności, kogo, co podziwiam – godność, z kim, z czym się nie rozstaję – z godnością, o kim, o czym opowiadam – o godności...

Bip.

MATKA Baw się cichutko, Adasiu, pan Gawalkiewicz znów upokorzył tatusia. Dziś w nocy tatuś będzie krzyczał, będzie bił pięściami w ścianę. On jest naszym małym synekkiem, twoim i moim, więc będziemy dla niego dobrzy, prawda, kochanie? (*z dumą*) Kiedyś pan Gawalkiewicz upokorzy także i ciebie, żebyś nigdy, przenigdy nie dorósł i nie musiał od nas odchodzić. Zostaniemy tutaj wszyscy razem: pan dyrektor, tatuś, ja i ty. Czasem tylko będziesz płakał w nocy, ale to przecież wszystko tylko na niby, jak we śnie.

Bip.

ŻONA Moja sąsiadka bije buty swojego męża. Te z surowej skóry, do pracy, z okrągłymi nosami bije metalowym prętem. Nad wyjściowymi z miękkiej skóry znęca się inaczej: wysupłuje z nich sznurówki, wypycha do wewnątrz gazetę i podpala. Gasi w ostatniej chwili. Kiedy mąż wraca, po kaźni nie ma już śladu – buty wypastowane, wypolerowane, prężą się w schowku. Mąż je obiad, ogląda telewizję, potem długo i starannie się ubiera. Nie mówi ani jednego słowa. Wychodzi. Sąsiadka... ona nie może już znieść tej ciszy. Ona... ja...

Bip.

MATKA (*rozmarzona*) Wiesz, Adasiu, pan Gawalkiewicz też krzyczy przez sen. Pana Gawalkiewicza upokorzyli Niemcy, a Niemców – Traktat Wersalski. „Cóż, jak mówi pan Gawalkiewicz, wszyscy jesteśmy dziećmi Historii, więc musimy popychać ją kopniakami do przodu, raz-dwa, raz-dwa, eins-zwei, odin-dwa, bo dzięki temu wciąż trzymamy się razem”. (*ponuro*) Tylko twój brat nie chciał być dzieckiem Historii. Nawet kiedy był całkiem malutki, nie robił niczego na niby. Lekarz powiedział mi, że on nie ma wyobraźni. (*placze*) Boże, jakie to było straszne, całą noc wtedy nie spałam. To wszystko pewnie dlatego, że właśnie umarł Stalin, kiedy byłam w ciąży, i ja, jak ta głupia, zaczęłam zaraz szlochać na

ulicy i wić się z rozpaczy, wyobraziłam sobie, że oto wszyscy jesteśmy zgubieni i słońce nigdy już nie zaświeci, sama już nie pamiętam, dlaczego tak rozpaczalam, chyba dlatego, że wszyscy tak szlochali i wili się z żalu, a potem mój mały synek urodził się bez wyobraźni. Lekarze robili, co mogli – pięć operacji, pełna rehabilitacja, ale sprawa była beznadziejna.

Kiedy miał trzy lata, ugryzł pana Gawalkiewicza w udo. Pan Gawalkiewicz, rzecz jasna, pogłodził go tylko po głowce, z uśmiechem, ale potem szczególnie złośliwie upokorzył tatusia. Bardzo płakaliśmy, kiedy twój brat postanowił odejść, ale (*z mocą*) cóż to była za ulga! Na szczęście mamy ciebie, Adasiu, a w tobie jest wyobraźni za dwóch!

Bip.

WODOMÓWCA (*lekki studzienny pogłos, spadające krople wody*) Ja, Mateusz Buczański, już siedemdziesiąty swój rok po obcych ludziach przeżywam – w lecie krowy pasam, w zimie młócę w stodole cepem. Matka, w barakach, od tyfusu umarła. I mnie się zbierać czas. We wsi naszej rodzony, w Bodziewiczach na odpuszcie dwa razy był – świat mój niewielki. Tylko na niebie ogromny!

Kiedy wiatr chmury pędzi, przed burzą albo o zorzy, wtedy kraje mi się dalekie przedstawiają, a to Afryka, jak barania czaszka, a to Ameryka Dolna kiścią winogron wisząca. I zamki z wieżami, i wawozy, i jary. Widzę pustynie ogromne wiatrem w skibki równo poorane, po których karawany jadą. I rzeki świetliste, a na nich statki pełne ludzi: Indusów, co na bosaka żyją, jak nasz pustelnik z Jaworowej Górki, Murzynów z wełnistymi głowami, małuśkich Chińczyków.

Płynie to wszystko, nie wiadomo – gdzie i po co, i tylko ja jeden w miejscu jednym stoję i paradę światów niebieskich odbieram.

Aż raz, na świętego Józefa, zza chmur głos się do mnie jakiś odzywa!

GŁOS (*pośród grzmotów*) Mateuszu? Mateuszu! Tobie mówić trzeba!!! W myślach żyjesz i na patrzeniu czas ci upływa, to nic dobrego, wierz mi. Człowiekowi gadanie przyrodzone, i tym się on właśnie od zwierzęcia różni, że gada. Gadanie od duszy się wywodzi, bo jedno i drugie z tej samej materii zrobione, Mateuszu – z powietrza! Ani duszy, ani gadania oko ludzkie jeszcze nie widziało, i tylko jak kto umiera i dusza jemu przez usta umyka w ostatnim tchnieniu, to lubi się ona we słowa jakieś przyodziać, jakby się bała, taka nagusieniecza, między ludzi iść. Szczególnie zaś, kiedy artystę jakiego opuszcza, to zaraz coś ładnego lubi na siebie włożyć, na przykład: (*z namaszczeniem*) „Więcej światła!”

(*podchwytliwie*) A co stary Modręga powiedział na ostatek, pamiętasz, Mateuszu?

WODOMÓWCA A kto to wie, co on naprawdę powiedział.

GŁOS A wie, wie. My tu Na Wysokościach, Mateuszu, wszystko wiemy. No więc?

WODOMÓWCA (*niechętnie*) Powiedział, że te pieniądze, co za pięciometrowego buhaja wziął, to mu w gospodzie mfody Ojecki ukradł.

GŁOS (*z satysfakcją*) A widzisz, Mateuszu, tak ci mówić trzeba! My tu, rzecz jasna, Na Wysokościach, dobrze wiemy, kto pijanemu Modrędze pieniądze z kieszeni wyjął, tylko w sprawie buhaja nieporządek się tu jakiś wdał i... poczekaj no, a wiesz ty, ile on za tego buhaja dostał?

WODOMÓWCA To pewnie tylko Modręgowa wie, bo się przy niej układali, ale, co komu do tego...

GŁOS No, to dowiedz ty się, Mateuszu, ile tego było, bo u nas tutaj (*z westchnieniem*) papierek jakiś się zagubił, a przed Wniebowstąpieniem koniecznie kartoteki na czysto wyprowadzić trzeba. I za każdym razem, kiedy po wodę przyjdiesz, o, tak, jak dzisiaj, nachyl się tylko do studni i powiedz, co tam się dowiedziałeś po wsi. I pamiętaj, mój drogi, że kto mówi, niewinny jest, bo przed innymi tajemnic

nie chowa, i nie ma nic do ukrycia, a sumienie jego czyste, jak woda w studni. Posłuchaj, jak pluszcze, jak dudni, jak echem życzliwym każdemu odpowie, co tam kto sobie zażyty. Tak samo tobie mówić trzeba, Mateuszu Buczacki, pamiętaj...

Grzmi.

GŁOS Acha, byłbym zapomniat – a nie mów ty, mój dobry Mateuszu, nikomu, coś my tu sobie ustalili, bo to wiesz, zaraz gadać zaczną ludziska, że nieporządki Na Wysokościach...

Bip.

MEŻCZYŻNA (*wyprowadzony z równowagi*) Do diabła z tym pańskim milczeniem! Przychodzi pan tutaj i ani „dzień dobry”, ani „do widzenia”, ani „pocałuj mnie w dupę”. I zamiast my pana, to pan słucha nas! (*ugodowo*) Pan jest inteligentny, panie Adamie, ale proszę sobie nie myśleć, ja też jestem po studiach. I to panu powiem, że jak kto milczy, to go właściwie nie ma. Albo jest śmieszny! Na filmach głuchoniemi zawsze są śmieszni. Nie to, co ślepi. Ślepy może być na filmie nawet bohaterem, jak Jurand ze Spychowa, a taki niemowa jest tylko komiczny, i nic więcej. Pan też jest komiczny z tymi zaciśniętymi ustami. Czego się pan boi, my nie jesteśmy tacy źli, a słowa nie zabijają. „Słowa, słowa, słowa” – jak powiedziało... My tutaj też czasem coś czytamy. Ubrał się pan w to swoje milczenie i myśli, że chociaż w ten sposób pozostanie pan czysty i nietknięty. A tak naprawdę to my przecież nic od pana nie chcemy, tylko porozmawiać, od czasu do czasu... No, co pan chroni tą ciszą? Jakie skarby, do cholery? No, niech pan powie!

Bip.

LEKARZ No, niech pan powie „aaa”. (*to „aaaa” pozostaje w tle, podczas gdy Lekarz mówi dalej*)

LEKARZ Szerzej! Szerzej! Zdaje mi się, że coś dostrzegam, tam w głębi. Ach, no tak! Pan nie ma pewności, czy słowa uczestniczą w haniebności zdarzeń, którym zmuszone są służyć? I czy owe zdarzenia, udzielając słowom prawdziwości, nie udzielają im zarazem swojej hańby? Nie ma obaw, drogi panie, związek pomiędzy słowami i faktami jest najzupełniej przypadkowy. Szczególnie tutaj. (*wzdycha*)

Bip.

STARSZY PAN Zechce mi pan wybaczyć, panie Adamie. Zupełnie się nie znamy, a pański numer telefonu wykreśliłem przypadkowo. I oto, cóż za szczęście! Natrafłem na tę przedziwną maszynę, dzięki której będę mógł uwiecznić swój głos. Słyszałem, że coś takiego teraz produkują.

Pan się chyba na mnie nie gniewa, panie Adamie, że wdzieram się nieproszony i bez pytania używam pańskiego magnetofonu? Ale czyż nie takie są czasy, w których żyjemy? Pierwszy lepszy łobuz może obwieścić panu przez telefon rychłą śmierć albo jakąś okrutną plotkę zatrzymać pańskie serce na kilka niebezpiecznych sekund. Wie pan, kiedy byłem małym chłopcem, do mojej babki przychodził posłaniec. Przynosił list z pytaniem, czy pan Taki-to-a-taki będzie mógł złożyć uszanowanie dziś po południu. Posłaniec czekał w przedpokoju albo proszono go do kuchni, żeby moja babka mogła rozważyć w spokoju całą złożoność sprawy, odczytać głębinowe znaczenia słów i ich połączeń, zamknawszy oczy zanurzyć się w aromacie papieru listowego i z tego zapachu ostatecznie wywnioskować wszystko to, co nie mogło zostać wyrażone słowami. Czasami widziałem, jak przytula ten kawałek papieru do serca. Potem moja babka pisała odpowiedź, i żaręcam panu, że była to najczystsza alchemia: kragłość liter i zawiśniętych pisanych zielonym atramentem stapała się w jedno z pyłkami pudru, west-

chnieniami, jakimiś obco brzmiącymi słowami. Tak, tak, panie Adamie, kiedyś ludzie cyzelowali swoje reakcje! A dziś, co najwyżej, można rzucić słuchawką, ot i cały majstersztyk! Proust, zamiast ośmiu tomów „W poszukiwaniu straconego czasu” pisze dzisiaj broszurkę o skojarzeniach; rozmowa coraz bardziej przypomina wymianę gotówki: stale te same nominały banknotów, skromna rozmaitość form pośród bilonu, i głębokie przekonanie, że to, czym się posługujemy, produkowane jest przez jakąś tajemniczą, dobrze strzeżoną fabrykę.

Rozgadałem się, panie Adamie, ale to przywilej tych, których nikt nie słucha. Jeżeli pan pozwoli, to zadzwonię jeszcze kiedyś – żeby porozmawiać...

Bip.

REDAKTOR Halo, tu wydawnictwo „Per Rectum”. Nareszcie się do pana dodzwoniłem – no, więc niestety! Niestety, na razie nie możemy uwzględnić pańskiej książki w naszych planach wydawniczych. Z powodów finansowych, rzecz jasna. Zresztą, powiem panu w zaufaniu, ale proszę o dyskrecję: naczelnym jest zdania, że w pańskiej powieści za mało jest mięsa...

Trzaski.

REDAKTOR Halo, halo, cholera z tym telefonem, za mało jest mięsa codzienności, tej, no, tkanki rzeczywistości, sam pan wie, ile rzeczy się teraz wokół dzieje...

Bip.

Na automatycznej sekretarce nagrywa się rozmowa dwóch kobiet.

KOBIETA I A widzieliście, jak to Martyja po kościołach biega, świętym obiecuje, diabłom się odgraża, a i tak wszystko na nic. Natka już dziesiąty dzień skonać nie może, gorączka ją taka pali, że aż z bólu krzyczy i woła chłodu na rozpalone ciało.

KOBIETA II A przecież raz już Martyja tak biegała, jak wychudzona szkapina i ugadywała się z proboszczem, pamiętacie? Wtedy, co w Natkę diabeł wstąpił i grubym głosem mówiła, a jak bluźniła przy tym! Tylko jej Martyja wlała w usta wody z Lourdes i Natka zaraz diabła oddała. Wszyscy widzieli, jak czarny dym wylatuje jej z ust, jak z komina. A teraz mówią, że śmierć jej nie chce...

KOBIETA I Bo Natka śmierć odpędza swoim niewyparzoną pyskiem, jak kiedyś odpędzała kawalerów Martyi. A śmierć, jaka by nie była, swój honor ma.

KOBIETA II Niewiele było tych kawalerów, ale niech no który do Martyi przystąpił, to Natka zaraz, że ten taki-owaki, że ma tyrolki ze psa, a za tamtego nie idź, bo ci uszanowania nie da; a że Antek (co niby zeza miał), jak na Pana Jezusa patrzy, to Matkę Boską widzi, a garbaty Olek kapliczkę ze sobą na plecach nosi...

KOBIETA I A kto ślepego Henka z domu przegonił? Rok do Martyi chodził, żenić się z tobą będę, mówił, ale wpierw daj na oko, to se wstawie. To ona dała, a ten nieborak tak się z tych nerwów upił, że oka sobie całkiem nie wsadził, tylko pod oknami Martyi chodził i płakał z żalu, aż mu Natka wiadro pomyj na głowę wylała.

KOBIETA II Nie dała Martyi za mąż wyjść, a sama przecie w domu pięciu minut nie usiedziała. Na Kolejówce to była z Natki pierwsza tancerka, a tańczyć umiała nowocześnie: i „na wykroki”, i „z drabinką”, i „z kropką”. Tylko że honoru żadnego nie miała i z każdym szła, a potem, podobnie, do Karmisowej biegała psuć się, bo co się z którym wyflukała, to zaraz w ciąży była. Raz, to już nawet było za późno i Karmisowa się bała, to Natka w domu mydła nagotowała, i dawaj se tam wlewać. Potem herbaty z tytoniu zrobiła, wypiła i zaczęła z pieca skakać. Martyja jak raz na nieszpór poszła, wraca, a ta cała we krwi, bliżej patrzy, a ona chłopaka urodziła. Zaraz go Martyja z wody ochrzciła i na imię dała Waldemar. Zawinęła dzieciaka w firankę i w piecu spaliła, a Natkę ledwo odratowali w szpitalu. Taka

się już uległa gorąca. A teraz ze śmiercią tańczy, a śmierci widać podoba się ta zabawa, bo przestać nie chce...

KOBIETA I O tak, Natka nigdy nie była taka wypracowana, jak Martyja, to chociaż teraz musi sobie na śmierć zapracować.

KOBIETA II Martyję noc z domu wygania, i noc przygania. Ludziom we wsi pomaga, uroki odczynia, a sól świętej Agaty stale nosi w staniu.

KOBIETA I Bo strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie Martyja, kiedy przez tę wariatkę Bagoniową pół wsi się paliło. Zajął się od telewizora dom Bagoniowej, a ona zamiast w szczere pole uciekać, leci do wsi – a wiadomo, że ogień goni!!! Ale Martyja już idzie przez wieś, solą ze stanika sypie i mówi: „O, święta Agato, broń nas”. I zaraz ogień wygasa.

KOBIETA II A pamiętacie, jak u Bartków diabeł do pokoju przylazł? Stukał wazonom, latał po obrazach, a raz stanął za drzwiami i pierdział. I tak trzy dni. Aż przychodzi Martyja i pyta: „Co, już jesteś, diable?”, a ten jej na to hardo mówi: „A jestem, jestem”. A ona, jak drzwi nie otworzy, jak nie chluśnie święconą wodą, jak nie krzyknie: „W imię Ojca i Syna”. Tylko wybita szyba w lufce po nim została.

KOBIETA III A o czym to moje sąsiadki tak gadają już drugą godzinę?

KOBIETA I Bo to nie wiecie, że Natka na wymarcu. Już dziesiąty dzień kona, klnie jak szewc, chociaż trzeźwusienska. Martyja tylko świece pali...

KOBIETA III ...a i tak nic z tego nie będzie!

KOBIETA I i II (równocześnie) Czemu to?

KOBIETA III Bo przez Weredową to wszystko.

KOBIETA I i II Och, mówcie, mówcie!

KOBIETA III Jak Natka do Skarbówki doniosła na Werdową, że potajemnie szyje, to Weredowa do mnie przysła, złe oczy przymrużyła, a takie jakieś jej się nagle zrobiły jak u kozła, patrzę, a ta do pieca podchodzi, drzwiczki otwiera, nachyla się i mówi: „żeby ona, suka jedna, za tę moją krzywdę skończyć nie mogła”. A w kominie tylko zadudniło, zaświstało wiatrem i chichot się rozległ.

KOBIETA I i II Ooooooooooooooooooooo!

Bip.

STARSZY PAN Panie Adasiu, odkryłem, że ponad wszelką wątpliwość mówienie jest nawykiem rąk! Spotkałem niegdyś gamcarza dotkniętego perseweracją: powtarzał w kółko jakieś słowa, aż do znudzenia.

A czy zauważył pan, jak nieznośnie wizgliwą frazą ślizgają się po zdaniach motorniczowie? Jak przyspieszają i zwalniają ni z tego, ni z owego, a potem nagle milkną i otwierają usta dla nabrania powietrza.

A kucharki? Czy wsłuchał się pan kiedyś wnikliwiej w gadulstwo kucharek, kiedy nie mrugnawszy nawet okiem zrywają nożem powłokę przedmiotu, tną jego nagi, krwawiący miąższ, a potem, mieszając go z innymi, ustalają zawieszisty konsensus?

Bip.

OJCIEC Mówił do mnie precyzyjnie i pewnie, jakby rzucał nożami – zawsze gdzieś obok mnie, obok mego ucha. Nie mogłem już tego znieść, jak nożami, obok. To było straszne, mrużył oczy, rzucał, jak nożami, słowa, precyzyjnie, nie miał litości. Ja tylko się bałem, czy to źle, bać się? Bałem się noża i że mnie będą bić. Czy to źle? Słów się nie bałem, nie były precyzyjne, zawsze gdzieś obok.

Tylko kiedy on mówił, to jakby rzucał nożami, tak pewnie. Umierałem ze strachu, czy to źle? Umierać...

Bip.

WODOMÓWCA Ja, Mateusz Buczacki, co siedemdziesiąty swój rok po obcych ludziach przeżywam, wodomówcą zostałem, w studni słowa topiącym. Na wieczór, po zachodzie, idę z wiadrami, do studni się nachylam i gadam. Co słoweczko upuszczę, to zaraz w dół leci, o cembrowiny się obija, pojęczy, zapiszczy i rozkołatane w czarną wodę spada.

I wtedy cisza. Jakby go nigdy nie było. Co, kto, nikt nie wie. A że po wsi niewiele co usłyszeć mi się udało, bo roboty w polu nastąpiły i do gadania nikt nie skory, to o moich chmurzastych dziwach studni powiadałem, a ona głosu mojego słuchała, czasem godzinę, czasem dwie, a raz było, że nocą ciemną do chałupy wróciłem. O wszystkim ze studnią gadałem, tajemnicy żadnej nie chowając. Wszystkom w studnię uroni! A to o głowie wielkiej na pół nieba, co słońce połknęła, a to o mieście Nowy Jork, gdzie domy jak góry, a ulice wąziutkimi strumyczkami w głębokich wąwozach płyną, a Matka Boska Nowojorska w potoku takim nogi swoje chłodzi. O ludziach ze wsi też gadałem, bom ich często na niebie oglądał, a najwięcej (zmieszany) to o Modręgowej, jak po niebie szła, a wiatr jej wielgaśne cycki rozwiewał. Aż raz to się stało, że woda już dłużej zamilczeć nie zmożła!!!

Włączają się głosy, jak w zepsutym telefonie, gdzie słychać parę rozmów naraz.

KOBIETA I Cud we wsi, Mateuszu, woda gadać zaczęła...

KOBIETA II ...czy na kuchni w czajniku grzejąca się, czy w dochówce w saganku, zaraz szeptać, syczeć, kwilić, dudłać i pimpolić zaczyna.

KOBIETA III A z jaka wylewnością się wylewa! Z jaką złością się to-to wygaduje! Czy do garnuszka lejesz, czy do miski, albo do wiadra – zaraz cuda takie opowiada...

KOBIETA IV ...że dzieciaków wcale do mycia gonić nie trzeba!

CHŁOP A baby to teraz całkiem na telewizję nie patrzą, tylko wody słuchają.

WODOMÓWCA (rozgoryczony) I takie to są Na Wysokościach porządki!

Opowieści moich na czas z wody nie wybrali, to teraz cud ogłosić muszą. Widać, że jak Na Wysokościach czego nie dopatrzą, to zaraz cuda na ziemi się robią. Do studni co dzień kolejka się ustawia, ludzie w kanki, wiadra wodę biorą. Jak na świętej Anny odpust we wsi zrobili, to Modręgowej syn w butelkach zakręcanych po wódce wodę sprzedawał. Słuchać jednak, że ona coraz to i słabiej gada. Ucieka z niej gadanie, jak ze mnie dusza. Mówią że z tego samego zrobione...

Bip.

Dźwięk komputera wyszukującego numer abonenta, potem gromkie „Alleluja”.

GŁOS II Halo, czy mnie słyszysz, Adamie, to ja, twój (trzaski zakłócają słowo), nie tak łatwo jest się stąd dodzwonić, a od śmierci mojego drogiego Emanuela Swedenborga trudno doprawdy o jakieś dobre bezpośrednie połączenie. Adamie, chciałem ci tylko powiedzieć (trzaski), halo, halo, chciałbym, żebyś wiedział, jak bardzo samotni bywają ojcowie. Nawet tutaj. Mój syn nie do końca mi ufa. Kiedy do niego podchodzę, stara się ukryć drżenie rąk. Odczuwa lęk przed podróżami. Teraz już prawie wcale nie wychodzi z domu, całymi dniami naprawia zegary albo rozwiązuje krzyżówki. Wiesz, co powiedział mi dzisiaj rano? Ze nie wierzy, abym mógł być jego ojcem. Twierdzi, że ten cieśla, który go wychował, jak on się nazywał? Ach, mniejsza o to, więc, że ten cieśla nigdy by nie zrobił „tego”. Rozumiesz, Adamie? „Tego!” Tak, jakby cieśle zbawiali świat! Kiedy do mnie mówił, widziałem, jak wykrzywiają mu się kąciki ust. Mon Dieu, tyle się biedak nacierpiął, sam już nie wiem, jak mogłem tego chcieć.

Trzaski, „Alleluja”.

Bip.

MIŁODA KOBIETA Ach, panie, niech mu pan nie pozwala tak cierpieć, niech pan coś zrobi!

Bip.

MARTYJA Musicie jej wybaczyć, Weredowo! Ona już dziesiąty dzień śmierci się oddaje, a ta jej nie chce.

Bip.

MATKA Na litość Boską, Adasiu, strzeż się sekundy!

Bip.

MŁODA KOBIETA Tak się nie godzi, panie! Jego ciało, takie piękne kiedyś, już ja się na tym znam, dotykałam go przecież, z miłością, taką, jakiej on mnie nauczył, nie-ludzką, o panie, to była miłość jak źródłana woda, która koi gorączkę, a nie jak wino, co mąci rozum, i teraz to ciało umiera szernie od zaschniętej krwi, jak ochłap targany przez rzeźnickie psy. Ja nie rozumiem, panie, tych jego opowieści, które on rzucał między nas, ale dopóki mówił, to w jego cierpieniu nie było rozpacz, bo cierpienie, panie, jest gadatliwe, jazgotliwe, zawodzące, jak przekupka z rybnego targu, a rozpacz – ona wcale nie ma głosu! O, bo ja się na tym znam, ja zaraz rozpoznałam, po tej ciszy, jaka w nim jest, jakby dusza w nim już dawno umarła, jakby te słowa, skądś obiecanie, nie wymówione pozostały...

Bip.

MARTYJA Ja już wszystkiego próbowałam: i świętej wody i gromnic, a śmierć, to ją ku sobie przyciąga, to odpycha, swoim wahaniem tylko bólu jej przydaje. Widać przekłętą niechętnie bierze, więc wy Natce przebaczenie, bo ludzką rzeczą jest wybaczać, kiedy pora. Ona przecież cierpieniem swoim wam się wypłaciła, swojego bólu ostatni grosik wam oddała, to ją uwolnijcie, Weredowo!

Bip.

CHŁOPIEC Uwolnij mnie stąd, pozwól mi odejść. Jest noc, wszyscy już dawno poszli spać. Ja wcale nie chcę tu być. Powinieneś mi przebaczyć, jesteś przecież starszy ode mnie. Dzisiaj masz już trzy razy tyle lat, co ja, wiem na pewno, przecież dzisiaj są nasze urodziny. A tak, każesz mi siedzieć za tymi drzwiami; światło wpadające przez szparę rozcina mój policzek, aż po krtań – nie mogę mówić. Mój brat w pokoju obok pakuje tych kilka rzeczy, które bez niego zmarniałyby na śmietniku.

BRAT Ja nie mam wyobraźni, Adasiu – jestem przedmiotem w świecie duchów. Może, jak Pinokia, wystrugał mnie jakiś stolarz? Nie umiem sobie niczego wyobrazić – ani strachu, ani odwagi, ani tęsknoty. Nie mam snów. Kiedy patrzę na stół, widzę stół. Stoły, tak jak ja, nie snują opowieści o tym, kim mogłyby być; one są. To smutne, kiedy nie widzi się nic, poza tym, co jest. Dlatego właśnie muszę stąd odejść, braciszku. Jest jeszcze coś – zdaje mi się, że ojciec się mnie boi. Kiedy do niego podchodzę, drżą mu ręce. Twierdzi, że mówię do niego w taki szczególny sposób... jakbym rzucał nożami.

Na szczęście ty, Adasiu, jesteś zupełnie inny; ty zawsze dojrzysz coś dziwnego, wystarczy, żebyś tylko zapatrzył się na niebo. Albo słyszysz, jak w piecu coś gada.

Klucze zostawię u pani Weredowej, jutro wam je odniesie. Wiem, wiem, ty się jej boisz, ale przecież bawisz się chętnie z jej córkami, Martyją i Natką. No, to trzymaj się, Mały, mnie już czas się zbierać.

I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Widzisz, ja zawsze pamiętam.

CHŁOPIEC Chcę pójść razem z nim, słyszysz, chcę iść z nim! Nie możesz skazywać mnie na taką wieczność, nie masz prawa. Proszę, tylko ten jeden, jedyny raz pozwól mi stąd wyjść, uczepić się jego ramienia i krzyknąć, tak, krzyknąć na cały głos, obudzić cały dom i bez przerwy krzyczeć, krzyczeeee!

Adam krzyczy przez sen. Budzi się, wstaje, podchodzi do adapteru, włącza go. Słychać pierwsze takty V Symfonii Beethovena.

Rozlega się dzwonek telefonu.

Adam nie podnosi słuchawki, ale słyszy rozmówcę – trick często stosowany przez neurastenicznych właścicieli automatycznych sekretarek.

MATKA Adasiu, tak chciałam być pierwsza, właśnie dzisiaj! A ciebie nie ma. Tego dnia, kiedy się urodziłeś, też chciałam być pierwsza, ale zabrała mi ciebie jakaś nieopierzona pielęgniarza...

I tak dalej.

Koniec